

Folder rezerwowo Zimna zimą *kurna* chata po parapety otulona *zagatą* a mróz na szybach wymalował fantastyczne kwiaty. *To nic*, że nasze nocne siki zamarzyły w blaszanym wiadrze, ciepło z wczoraj spalonego chrustu gdzieś wywiało. *To nic*. Rodzice wstają z zapiecka, za ścianą kaszle dziadek Wincenty... ktoś musi przynieść wodę ze studni sąsiada ale to tata, bo ja nie udźwignę dwóch pełnych wiader, matka odgrzała resztki z wczorajszej kolacji... już świta... muszę zdążyć na ósmą do szkoły, to tylko kilometr na skrót po śniegu sięgającym do połowy moich ówczesnych łydek, *dziadek mróz* skrzypi pod gumowymi podeszwami i słowa sąsiada: ...*Celina, Heniek i Maryśka* nie poszli do szkoły, bo za dużo śniegu i mróz... a *Stacho* poszedł. *To nic*, że stopy i dłonie nabierały ludzkiej temperatury już na drugiej lekcji... a koleżanki i koledzy prosili: *Stachu, rozwiąż zadanie*.
 Rozwiązywałem je inaczej, niż swoje by nie podejrzewano, że ktoś od kogoś ściągał.
 Potem, na wywiadówce nauczycielka przeczytała dwa wypracowania o jesieni, koleżanki z klasy jako złe a moje jako wzorowe. Chyba dlatego, że koleżanka pisała o szarej jesieni a ja o złotej i o tym, że jeszcze będzie maj... . *W maju za umajenie krów /nawiązanie zielonej brzeziny na ich rogach /pomiędzy piątą a ósmą / dostawałem od ojca 5 złotych. ...tylko bosa stopy w majowej, trochę zimnej rosie...*



Bywało też lato. Pamiętam smak zielonych strąków grochu podkradanych z poletka sąsiada i smak gruszek, jabłek, też podkradanych i kwitnące mlecze i motyle, ale też pamiętam w kołysce młodszych braci płacz... ślady po wierzbowych różgach na moich 5-letnich łydkach od ojca mojego ojca, dla niego bieganie do sklepiku po 10 sztuk Mew /to takie papierosy bez filtra/



*To nic, że na biebrzańskich bagnach, jeszcze przed podstawówką, pilnowałem gryzionych przez bąki i gzy niespokojnych koni, później kosiłem szuwały na paszę dla konia, dwa lata później zgrabiałem te szuwały, po bagnie powyżej moich, ówczesnych, stawów skokowych, nosiłem na nosidłach kopy tych szuwarów... a bąki gryzły do krwi, ślepaki też ale pływają. *To nic*. Smaku placka z mąki nazywanego wtedy goudą nigdy nie zapomnę, i radości, że wracamy do domu i ... widoku łościa z potężnym porożem stojącego w tle wschodzącego słońca ... i strachu przed wilkami, kiedy koń nie chciał iść w ciemny las a ojciec z widłami poszedł... ale to nie był wilk ani nosorożec... i o mroźnym świetle szurgotu wilka uciekającego spod stogu siana, po które ojciec przyjechał ze mną na zamrażnięte bagna. *To nic*.
 Ale zimowe poranne słońce, skrzypiący pod saniami śnieg, tajemnicze ślady na śniegu ... tylko załadować stóg siana na furę i modlić się... by koń ten pojazd wyciągnął z bagna na stabilną*

goblę. Potem to bajka, 15 kilometrów w rytmie człapiącego, parującego od wysiłku, konia... może tata zadecyduje, że tę furę rozładujemy jutro...

To nic, że trochę zimno, moich rękawic jeszcze nie wyprodukowali.

Czasem pędzący z wiatrem śnieg, zawieje ale nie zamiecie... .

Wróćmy do lata.

*To nic, że mój ojciec kosił kosą zboże u obcych ludzi, matka zgarbiona we dwoje je zbierała a ja robiłem paski ze słomy do wiązania snopków tego zboża i próbowałem związywać te snopki. Nad jednym z nich usnąłem. Może to słońce za wysoko ... miałem wtedy 8 lat. Już wtedy znałem smak kwasu mlekowego ... i treść modlitwy: *by słońce było niżej*. Znałem też zapach obornika zwanego wtedy gnojem i marzenie, by to była już ostatnia fura. Tylko potem ten gnój poroztrzasać i koń pociągnie pług, by te *gówno* krowie przyorać. Skończyłem tylko siedem klas podstawówki z pochwałą. Czerwonych pasków wtedy nie dawano.*

*Pamiętam też wielkanocne huśtawki z drążków zawieszonych pomiędzy klonami, zbitki gotowanymi jajkami..., wielkanocną babkę z pszennej mąki..., pamiętam też wigilijne siano pod białym obrusem a w tym sianie kilkanaście cukierków, po które można było sięgnąć po kolacji a siano ojciec zanosił dla bydła, po garści dla każdego. Podobno te bydła gadały ludzkim głosem ale ja nie słuchałem... o północy *pasterka* w kościele, 5 kilometrów od domu, rozmodlone pienia... ja jak najdalej od drzwi, bo mroźne powietrze mniej łaskotało w środku tłumu. Zapamiętałem też kolędę z tekturową gwiazdą, od chaty do chaty po zamarzniętych bezdrożach, w tych chatach stały świąteczne a ta gwiazda pod wieczór ważyła ponad 20 kilo... ja zadyszany, wraz z trzema kolegami, próbowałem wydać z siebie głosy, głosy mające imitować kolędy... tylko nogi sztywne jak kolki ze zmęczenia, ale wieczorny podział monet, po równo, to *frajda!* *frajda frajdą...* *ale nie**

chciałem tak żyć i budować swojej przyszłości na 6 hektarach do podziału z trójką rodzeństwa...

Nie chciałem, marzyłem... no i zaczęło się pięć jesieni, zim i wiosen.

Na wakacje czasu znów nie było.

Część to sianokosy, część żniwa, obornik... ale większość to szybkoce o wschodzie letniego słońca wyciągane z hangarów... tylko mokre buty od porannej rosy...

Już wtedy, patrząc na latające jaskółki, nuciłem pod nosem coś w tym stylu

... kiedy dorosnę zostanę pilotem, będę śmigał po niebie szybkim samolotem...



*... to nie było dokładnie tak ale już wtedy postanowiłem, że muszę wyrwać się z tego gnoju i biedy, kiedy bochenek chleba leżał wysoko, kiedy posiłkiem w czasie przerwy w koszeniu był chleb z wodą zabielaną mlekiem z drobiną cukru albo kanapki z melasą duszoną z własnych buraków cukrowych. Pamiętam też *osuchy* pieczone na płycie kuchennej, pamiętam też *goudy*, które najlepiej smakowały na wiązce siana na *furze* w drodze powrotnej z bagien biebzańskich w rytm człapiącego konia po*

całodziennym wysiłku /naszym, nie konia/ przy koszeniu szuwarów lub ich grabieniu i składaniu w stogi na rusztach

z gałęzi..., a brunatna woda przelewała się przez celowo przedziurawione buty gumowe... .

A w temacie człapiącego konia...

Wczesnoletni wieczór... ja na oklep na koniu tak grubym, że moje ośmioletnie nogi były rozkraczone do granic szpagatu... koń człapie, ja myślami gdzie indziej, ojciec piechotą już pewnie w domu.

Nagle coś się stało i widziałem na tle nieba skaczącego nade mną konia. To nie był sen ani kosmos. To koń miał dość takiego jeźdźcy, podrzucił mocno zadem a ja do przodu, przez końską grzywę. Tylko ojciec pokpiwał, że jeździec wrócił do domu później, niż koń.

*Ale był też inny koń.
się samochodów.*

nim, też na oklep

dwa lata miałem dłuższe nogi/

gościńcem jedzie Star 25,

plandeką robotnicy z białostockiej

budowy, też mój ojciec... kieruję konia

kartofle, jak najdalej

od gościńca

tak mnie zrzucił... tylko dlaczego w

poprzekgrzechów kartoflanych a nie

wzdłuż...? Mniej by bolało. Chyba już wtedy przyzwyczałem się do upadków

Bał

Ja

/o

pod

kieruję konia

od gościńca

tylko dlaczego w

poprzekgrzechów kartoflanych a nie

wzdłuż...? Mniej by bolało. Chyba już wtedy przyzwyczałem się do upadków



na

a

w

a i

To było.

Chyba też jestem

stalinowcem, bo urodziłem

się w 1951 roku a Stalin

zmarł trochę później...

i łzy mi leciały...

z powodu mokrej pieluchy i

braku gumowego smoczka

z kaszą na mleku.

Rodzice wydobywali

kartofle z bagnistego pola

a ja, w drewnianej kotłyszce,

drewnianym młotkiem

wystukiwałem rytm dla

komunizmu.



Potem osiem kilometrów rowerem a zimą piechotą, na skrót, graniczką to tylko cztery kilometry, na stację kolejową. To tylko pięć lat i zim... . Zimą pryzmy śniegu na poboczach wyższe ode mnie i śpiewające w mrozie druty telefoniczne w świetle księżycy... i szron na krzewach, czasem mokry, zimny wiatr zacinający pod szalik, czasem zlodowaciały śnieg w butach..., czasem zając biegnący po szklawie śnieżnym sprawiał wrażenie łomotu słonia a moja latarka na niezbyt nowe baterie słabo sięgała dwóch metrów... . *nic to* .

Włączałem marzenia i siedłem ... i dochodziłem na szóstą trzydzieści na stację kolejową, przed ósmą byłem w Technikum Ekonomicznym im. Mikołaja Kopernika i zmieniałem mokre buty na obowiązkowe kaptcie... już na drugiej lekcji moje stopy i dłonie nabierały ludzkiej temperatury. Czasem o trzeciej na lotnisku a dopiero o ósmej na lekcjach... *ale to latem*.

To nic, że dopiero Pan Profesor Miłaszewicz nauczył mnie odpowiedzialności za słowo i logiki pisania mimo moich wzorowych wypracowań z podstawówki.

P.s. to nauczanie przebiegało tak :

I okres I klasy; moje wypracowanie domowe na dwóję, klasowe – na tróję,

Ocena z języka polskiego za I okres: trzy z minusem. II. okres tejże klasy: dwa bez plusa i... rada

Profesora Wacława Miłaszewicza, bym wziął korepetycje. Ja, z zażenowaniem, że nie, że sam

poradzę, bo wiedziałem, że Rodziców nie stać na więcej, niż 5 zł. dziennie na dwie dworcowe

kanapki i na bilety miesięczne. Nie wiedziałem, jak poradzić ale wiedziałem, że poradzić muszę.

Zacząłem pisać wypracowania domowe „na brudno”, kreśliłem, zmieniałem a potem, na „czysto”, przepisywałem.

III. okres I. klasy: pierwsze czytanie wypracowania domowego to ja i pytanie Profesora: kto to ci napisał... a kolega z ławki szkolnej Janek R. wstał z tej ławki ... on to sam napisał, bo jego rodzice

mają 4-klasowe wykształcenie podstawowe a rodzeństwo uczy się w podstawówce. Uwierzy dopiero po napisaniu wypracowania w sali szkolnej na połączonych dwóch lekcjach.

Czwórkę z języka polskiego miałem do matury.

Dziękuję Wychowawczyni Pani Halinie Borowiec, która broniła mnie przed pretensjami koleżanek, że wzorów nie znam na pamięć ale dzięki Pani Profesor jeszcze dziś potrafię wyprowadzić wiele wzorów w ciągu trzech minut. Nadal ich nie pamiętam... .

Tylko koleżanki dopytywały, czy chodzę do solarium, bo zimą mam tak /s/ opaloną twarz.

*Nie wiem, czy komukolwiek jest to dowód, że
... można wznieść się wysoko
od gnoju i biedy...*

... ku obłokom

Lubiłem /i do dziś lubię/ matematykę, szczególnie geometrię a w tym planimetrię /na stereometrię nie starczało czasu/. Nie zgłosiłem się na egzaminy wstępne do Technikum Geodezyjnego... bo bałem się tych egzaminów a Pani Dyrektor Szkoły Podstawowej w Długotęce...

idź do ekonomika, nie będziesz latał z łatą po polach..., po ekonomiku będziesz miał biurko... i tak zaczęła się moja przygoda na ul. Warszawskiej 63 w Białymstoku.

Potem, przez kilka lat,

zajmowałem się „wprostowaniem obwodu koła” za pomocą cyrkla i linijki oraz zapisu takiej operacji wzorem matematycznym.

Trochę analizowałem teorię liczb, trójkąt Pascala, rachunek prawdopodobieństwa... permutacje, wariacje, kombinacje

/kombinacje nie pasują mi do dziś ale wariacje pozostały – nie tylko w aspekcie matematycznym/.

Niektórzy to nazywają rozwiązywaniem nierozwiązywalnego problemu kwadratury koła.

. A niektórzy twierdzą, że problemy dzielą się na rozwiązywalne i nierozwiązywalne.

Kategoria I. problemy rozwiązywalne, to po co się nimi zajmować, same się rozwiążą.

II. problemy nierozwiązywalne, to po co się nimi zajmować i tak są nierozwiązywalne.

Nie należę do wyznawców żadnej z tych kategorii.

Ale było też lato. Osiem kilometrów rowerem do stacji to frajda. Już nie musiałem wstawać o czwartej, czasem wracałem do domu po 22-ej, po seansie w kinie S y r e n a...

Wielokrotnie oglądałem Ostatni zachód słońca ...

i wielokrotnie zastanawiałem się, dlaczego zakochany rewolwerowiec najpierw sprawdził, czy bębenek rewolweru ma pusty, a potem stanął do pojedynku ?

Do dziś nie wiem, czy życie bez miłości ma sens, albo czy miłość bez życia ?

Coś tu pokręciłem...



*Były też wakacje. Część na zniwach i sianokosach ale większość to szybowce o wschodzie letniego słońca wyciągane z hangarów. To nic, że dla takich momentów, wychodziłem z domu po dobranocce i po drzemce na dworcowej poczekalni na Krywlany dochodziłem przed trzecią, letnia rosa w mokrych butach, szybowanie za obłokiem i wrzask z radia ...
gdzie kurwa lecisz...*

*... ale nikt mi nie zabierze kolorytu świtu,
porannego błękitu,
Białegostoku,
szumu wiatru za szybą Czapli
złocistych... cumulusów czystych... i słonecznego nieba...
a może mi potrzeba poletka dzikich kwiatów tam,
gdzie oglądałem obłoki, tam gdzie powstawał mój świat szeroki...*

*zimnej letniej rosy i
widoku z góry zielonego
nikt też mi nie zabierze
obrazu pól*

*czasem się zdarza,
że nie zaglądam do kalendarza...
.. nie idę do lekarza
i dzień mija... i noc niczyja...
/to tylko bezadresowe refleksje /*

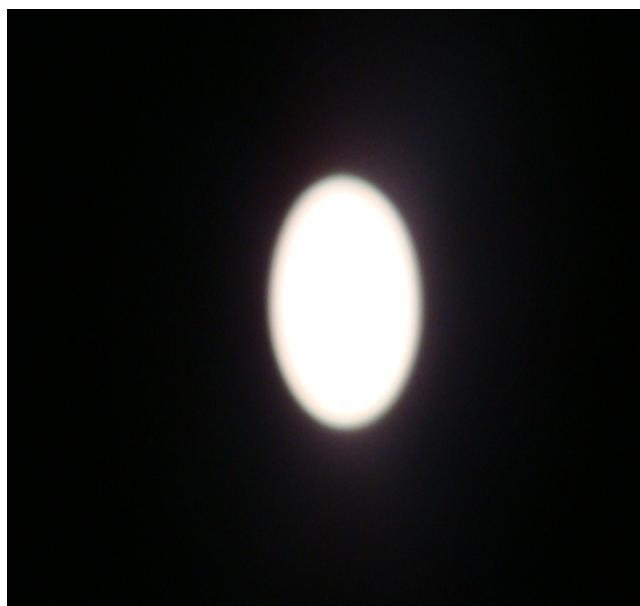
czasem księżyc prowokował marzenia...

*Noc na warcie w zapomnianej bramie
Dęblińskiej Szkoły Orłąt
ŻURAWIE
iskrzyły późną nocą gwiazdy
mróz zwarzył zieleń liści drzew
ich złotem barwił świat a każdy
miał odcień jak jesienny śpiew
gdzieś górą szumiały żurawie
leciały do cieplejszych stron
szron osiadł na złotej murawie...
i cisza, cisza jak mosiężny dzwon
to jesień, jesień szła niespiesznie
już z dali słyhać smutny krok
tylko latarnie mrugają ucieszenie
raz po raz rozświetlając mrok
i cisza otuliła wokół
przesmutne korony okolicznych drzew*

przenika, burzy moją krew

*gdzieś z kraju o złotej murawie
gdzie pustka męczy tylko wzrok
żurawie, chciałbym z wami latać
zasumieć skrzydłami jesieni
podziwiać piękno tego świata
i czekać i czekać, czekać póki się nie zmieni...*

PS. rymowanki te wymyślone na warcie zapisywałem w pamięci a w wolnym czasie,
/po 24 godzinach warty/ przypominałem ich tekst i to zapisywałem na papierze.



i spokój, spokój, tylko spokój

*hej że, hej że wy żurawie
unieście mnie przez nocy mrok*

Nie było to trudne, bo miałem krótkie, wojskowe włosy, pod metalowym hełmem mózg nie parował i... nie miałem czołowych zakoli... dziś z parowaniem mam kłopoty /cokolwiek to znaczy/.



Białystok, dnia 21.12.2012. r.